

Zaklinanie żmijowatego smoka

17 listopada 2010

Obserwacja polityki światowej zaczyna dostarczać mocnych wrażeń. I to nawet tej śledzonej przy pomocy telewizora, a więc odpowiednio przestawionej, zmielonej i przerobionej na informacyjną paszę dla ludu. Nawet trawiąc te – częstokroć głodne kawałki – można dostrzec, że coś ciekawego zaczęło się dziać.

Prezydent Stanów Zjednoczonych tuż po wyborczych smutkach ruszył w Azję, obtańcowując tamtejsze ludne narody. Sądząc po trasie i przebiegu płaśów, można wyciągnąć wnioski na temat nowych kierunków geopolitycznych.

Szef amerykańskiego rządu tym razem na celowniku swej kampanii miłości umieścił wielkie narody Półwyspu Indyjskiego („narody”, bo jest tam ich cała mozaika), obiecując status regionalnego mocarstwa. Stałe miejsce w Radzie Bezpieczeństwa i amerykańskie inwestycje – głównie w przemysł zbrojeniowy.

Skąd ta nagła miłość do Hindusów? (Notabene Kanada w tym uczuciu była pierwsza i Ottawa do New Delhi od kilku dekad puszcza oko, nie wspominając już o tym, że dzięki kanadyjskiej technologii Hindusi mają atomowe pukawki). Otóż miłość do Hindusów jest efektem nieodwzajemnienia amerykańskich zalotów do Chin. Pokazujemy Pekinowi, że możemy mieć w Azji inne ulubienice.

Waszyngton sądził bowiem, że poprzez transfer gospodarczy, wpłynie na tamtejsze elity tak, by zapisały się masowo do projektu globalnego świata konstruowanego pod kierownictwem amerykańsko-masońsko-żydowskiej wierchuszki. Chińczycy, i owszem, skwapliwie ściskali wyciągniętą jeszcze za Nixona rękę Zachodu, ale ani im w głowie rezygnować z własnych planów i ambicji. I to nawet po zdesperowanych ostrzeżeniach pani minister Clintonowej, że „jedziemy na tym samym wózku”.

Ambicje te nie ograniczają się do bycia regionalnym mocarstwem sprawnie realizującym „uzgodnione” interesy amerykańskich korporacji, lecz mają zasięg i charakter globalny. Dzisiaj to chińskie firmy wypierają amerykańskie interesy w Ameryce Środkowej, Południowej i w Afryce. Azji nie wspominając, bo chiński imperializm zawsze miał tam tradycje.

Na dodatek, Chiny z wielką niechęcią patrzą na zabiegi monetarne i polityczne Waszyngtonu zmierzające do ograniczenia importowego uzależnienia gospodarek Ameryki i Europy. Chiny strzegą zmniejszenia przewagi eksportowej swej gospodarki, bo z dziada pradziada są ekonomicznymi nacjonalistami.

Spór z Chinami nie sprowadza się li tylko do płaszczyzny gospodarczej – ma charakter polityczny i militarny. Chiny są jednym z gwarantów bezpieczeństwa Iranu, skąd importują ropę i gaz. To ośmiela „bezczelną retorykę” Teheranu, który wie, że zbombardowanie jego instalacji nuklearnych wywoła grubszą rozróbę.

Ponieważ Chiny są głównym wierzycielem Ameryki i nabywcą jej bieżącego długu, sprzeciw chiński mógłby wywołać drastyczne ruchy na wewnętrznym rynku Ameryki i giełdach świata.

Amerykanie coraz wyraźniej widzą, że przeliczyli się w swych chińskich nadziejach i wyhodowali na piersi żmijowatego smoka, z którym przestają sobie radzić.

Chiny wspierają też antysystemowe kraje i ich liderów, co powoli plasuje je na pozycjach kontrglobalnego mocarstwa, a raczej mocarstwa globalizującego inaczej. W stronę Chin patrzą więc coraz częściej w takiej Wenezueli, czy nawet na Białorusi.

Dlatego Waszyngton rozpoczął konsolidację globalnego obozu, zaczynając od kraju bliskiego potencjałem Chinom. Indie w tej rozgrywce mogą pomóc na kilku frontach – m.in. w zwalczaniu talibów – gdy rozpada się sojusz z Pakistanem. Mogą też konkurować z Chinami tanim eksportem do Ameryki.

Obama czułe słowa zawiózł zresztą nie tylko pod dachy maharadżów, ale również do Indonezji – najliczniejszego kraju muzułmańskiego, o tradycyjnym antychińskim nastawieniu. Chińczycy stanowią tam 3 proc. ludności, ale całkowicie zdominowali biznes, przez co są nielubiani i od czasu do czasu raczeni pogromami.

Co ciekawe z polskiego punktu widzenia, wizycie tym razem pyły wulkaniczne nie przeszkadzały. Air Force One pokonał je dzielnie, choć przecież nie tak dawno nie mógł dolecieć do Krakowa. To sygnał, że chodzi o rzeczy ważne, a nie słodkie gesty.

Bliskie związanie z Indiami to element polityki „okrążenia” Chin. Delikatnie antychińska jest też Rosja, obawiająca się o Syberię i jej bogactwa, obdarta przez Pekin z wpływów w Mongolii.

Na tyle, na ile sądzić możemy z dokładniejszego trawienia informacyjnej telenoweli kierowanej do ludu, zaczęło się rozdanie i jesteśmy świadkami nowej gry.

Żadne mocarstwo nie patrzy spokojnie, jak traci status, Ameryka też nie usiadzie z założonymi rękami.

Chińsko-amerykański szczękościsk polega na tym, że o ile Chiny mają w kieszeni trylion dolarów amerykańskich papierów, za który kupują wszystko, na czym mogą położyć rękę – zwłaszcza surowce i technologię – o tyle Stany Zjednoczone te dolary „drukują” i z dnia na dzień mogą obniżać ich wartość. Stąd i chińskie pragnienie sukcesywnego zamieniania tego długu na coś bardziej konkretnego i stąd też szukanie przez Waszyngton wyjścia awaryjnego.

Na nieszczęście może się nim okazać atak na Iran, usprawiedliwiający nadzwyczajne środki finansowe, oraz towarzysząca mu konfrontacja z Pekinem. Zaczyna się już sprawdzanie, kto gdzie będzie stał.

A na razie...

Na razie kupujmy złoto. Żebyśmy mieli na chleb.

Autor: Andrzej Kumor

Zdjęcie: [London Summit](#)

Źródło: [Goniec](#)